



Od wielu lat chorował na białaczkę. Dwukrotnie zagładał śmierci w oczy. Wydawało się, że ją pokonał, ale... 31 października zmarł nagle z powodu niewydolności serca spowodowanej infekcją bakteryjną i sepsą.

Stało się dokładnie tak, jak przewidywał Balcerowicz. Dla Jana Wejcherta rządy Kaczyńskich – polujących na biznesmenów jak na czarownice – oznaczały regres gospodarczy, ale także regres państwowości. A także stratę czasu dla kraju, który wciąż ma dużo zapóźnień. Nienawidził tracić czasu.

Jako jedyny biznesmen z najwyższej półki w Polsce Wejchert otwarcie mówił w wywiadach, co sądzi o rządach PiS. Bolało go, że Kaczyńscy i ich ludzie psują to, co Polacy, w tym przedsiębiorcy, tworzą ciężką pracą.

Pisał: „Nie mam wątpliwości, że jesteśmy wyjątkową nacją – pełną emocji, racjonalności, wielkiej narodowej konsolidacji, gdy tego sytuacja wymaga, pełni fantazji i talentu, wyjątkowych możliwości improwizacyjnych, zahartowani przez wieki w boju, pełni romantyzmu i wyrozumiałości, ale, niestety, często irracjonalni. To my, Polacy”.

Imperium uśmiechu

W roku 2001 poślubił swoją czwartą żonę, Aldonę. Dziś wielu ludzi, którzy go wspominają, powtarza jedno – rodzina była dla niego najważniejsza.

„Zepsuł mnie”, opowiada Aldona Wejchert w pożegnalnym reportażu zrealizowanym przez TVN. „Nie byłam przyzwyczajona do męża w złym humorze. To jest niesamowite, ale nie było dni,

żeby miał zły humor, żeby na coś narzekał. Jeśli narzekał, to wiedziałam, że sprawa jest poważna”.

Nazwała go królem życia. Mówiła, że najbardziej obawiał się starości i słabości.

Zdołał jej uniknąć. Bruno Val-sangiacomo: „Jan nigdy wcześniej nie był tak pełen zapału i nowych pomysłów, jak w ostatnich tygodniach. Tryskała z niego energia. Odszedł w ferworze walki”.

Życie, zwłaszcza intensywne, potrafi wyręczyć zmarszczki zgorzknienia nawet na najsilniejszych. Jan Wejchert z każdym rokiem coraz częściej i szerzej się uśmiechał. „Moim zadaniem jest powtarzanie wszystkim, że wszystko jest zawsze możliwe”, mówił.

Uśmiech stał się znakiem firmowym znanego kiedyś z napadów złości Jana Wejcherta. Nawet wtedy, gdy innym nie było do śmiechu.

Wspomina Łukasz Wejchert, szef Onetu, syn Jana: „Wydaliśmy na Onet 140 milionów dolarów, a giełda wyceniała go na 19 milionów. Zdołowani usiedliśmy z ojcem w sali konferencyjnej, by o tym porozmawiać. Ale nawet wtedy nie zgasł w nim instynkt fightera. Choć zdawało się, że utopiliśmy właśnie 120 milionów dolarów, on znalazł pozytywny aspekt tej sytuacji. »Wiesz co, synku, jak już powiedzieliśmy a, to musimy powiedzieć zet. Bierz się do roboty – postawimy ten portal

na nogi. Dobrze, że to jest także nasza firma. Bo jakby nie była, toby nas teraz wywalili«”.

Postawili portal na nogi. Choć nikt nie dałby za to złamanego grosza, a gazety wyszydzały ITI za transakcję kupna Onetu. Jan Wejchert znowu okazał się czarodziejem biznesu.

Świat zastany, świat zmieniony

Gdyby Jan Wejchert miał wysłać gdzieś swoje CV, w rubryce zainteresowania wpisałby: joga, golf, gotowanie, wino. W każdej z tych dziedzin osiągnął wysoki poziom. Tak jak ITI w każdym ze swoich biznesów. Zostawił po sobie – budowane właśnie – pole golfowe z centrum medytacji, ale także kilka innych, namacalnych śladów swojej obecności. Ród Wejchertów znany jest bowiem z zacięcia do architektury.

Jeszcze w latach 80., przejeżdżając Alejami Ujazdowskimi, zakochał się w niszczącym pałacu Sobańskich. W maju 1992 roku sprawdził: pałac należał do miasta, a w przyszłości miał być oddany dawnym właścicielom.

Wynajął prawnika, który miał ich zidentyfikować. Ten znalazł 22 spadkobierców, z czego kilku żyło w Ameryce Południowej. Kupił od nich prawa do pałacu, mimo że nie miał pewności, że miasto na pewno zwróci go właścicielom. Wtedy przeżył najdłuższy

rytuał prawny w życiu: 22 osoby składały – często wielocłonowe, hrabiowskie – podpisy na 22 kopiach. Trwało to cztery godziny. W piwnicach pałacu Sobańskich skakały wtedy jeszcze stada pcheł, które później trzeba było wytruć gazem, zanim weszła ekipa budowlana.

Pałac miał jedną wadę – widok na szpetną ścianę z cegieł, tyły ambasady brytyjskiej.

Andrzej Wejchert, stryj Jana, zaprojektował tam elewację ze szkła i aluminium. W niej miał się odbijać pałac. Prasa uznała, że to barbarzyństwo, ale przyszłość pokazała, że to on miał rację. Budynek został biurowcem roku 2000 w Warszawie. Pałac Sobańskich uznano za najlepiej odrestaurowany budynek dziesięciolecia.

A Janowi Wejchertowi spodobał się sąsiedni budynek – ambasady brytyjskiej. Okazało się, że odzyskują go właśnie spadkobiercy. Dogadali się – kupił ambasadę. Było w tej transakcji dla niego coś symbolicznego. Mówił: „Zostałem właścicielem budynku brytyjskiej ambasady, w której nie tak dawno temu, jako student, z drzeniem serca stałem po wizę”.

Lubił o tym opowiadać – bo w tej opowieści kryła się prawda, którą wyznawał z religijnym niemal zapałem. Brzmiała ona tak: „Człowiek może wszystko”.

Tekst MARCIN FABJAŃSKI